

Nr. 3. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci! 1. Lutego.

OBRAZ ZAKONNIKA.

Mało jest ludzi którymby od młodocianych lat pomyślność, cześć i sława niezmiennie sprzyjały: tego wszakże doznał Piotr Paweł Rubens (ur. 1577 um. 1640); był on już bowiem wtedy znakomitym malarzem flamandzkim, kiedy jego wieku rówiennicy pustotą jeszcze i igraszkami zajmować się zwykli. Potężni monarchowie chciwie ubiegali się o niego, złotem obsypywali jego arcydzieła; a zatrzymanie go na swoim dworze za za-

szczyt poczytując sobie, szlachetnemu jego charakterowi i wysokim jego umysłu zdolnościom najpochlebniejsze swoich uczuć składali dowody. Książe Buckingham nie wahał się wyjawić Rubensowi trosk swoich, na jakie naraziło go nieporozumienie dworu Angielskiego z Hiszpańskim, i polecił mu aby przedstawił jego zamiary, do pojednania dążące, infantce Izabeli, wdowie po arcyksięciu Albercie. Rubens niebawnie udał się do Brukseli na dwór księżnej, dopiął wkrótce celu swoich rokowań, i tak skutecznie pozyskał względy tej pani, że go wysłała do Filipa IV. króla hiszpańskiego, z poleceniem przełożenia mu warunków do zawarcia pokoju, i przyjęcia dalszych rozporządzeń monarchy. Filip IV. słusznie oceniając wysokie Rubensa zdolności, wyniósł go do stanu rycerskiego i poruczył mu urząd sekretarza swojej Rady przybocznej. Tak więc uzacniony wrócił do Brukseli ze zdaniem sprawy infantce Izabeli z swego pełnomocnictwa; poczem udał się do Anglji z poleceniami od króla katolickiego, i zawarł pokój zgodnie z życzeniami obu monarchów. Karol I. król angielski, zaszczycił Rubensa orderami, a wśród zgromadzonego parlamentu udarował odpasaną od boku szpadą dostojnego sprawcę pokoju. Wkrótce potem powrócił do Hiszpanji, gdzie ozdobiony kluczem złotym szambelana, mianowany był sekretarzem Rady Państwa w Niderlandach.

Upojony taką pomyślnością Rubens, butny z stanowiska swoją zasługą nabytego, otoczył się wystawnością, ukazywał się zwykle w świetnym, licznym, a godnym księcia orszaku. Jego uczniowie wzwyczaili go do odbierania pewnego rodzaju czci, towarzyszyli mu wszędzie w licznem towarzystwie.

W ten to sposób Rubens w czasie swoich wycieczek po kraju chodził od klasztoru do klasztoru, żadnego nie omijając kościoła, w celu oglądania arcydzieł sztuki; bo w epoce, w której się niniejsza powieść odbywa, sztuki religją natchnione dzielnego od duchowieństwa doznawały zachęcenia. Nie jeden w owym czasie artysta byłby swe życie zmarnował w ubóstwie,

nieznany nikomu, bez szlachetnej pomocy duchowieństwa, któremu częstokroć winien był sławę i dostatki, a wedle słów samego Rubensa, opieka zakonnika tyle dla malarza znaczyła, co protekcja zamiłowanego w sztuce króla.

W jednej wycieczce po okolicach Madrytu wszedł Rubens do klasztoru bardzo surowej reguły i postrzegł nie bez zdziwienia w chórze ubożuchnego kościółka obraz, okazujący niezwykły talent znakomitego artysty. Obraz przedstawiał zgon zakonnika. Rubens przywołał swych uczniów, wskazał im cudne malowidło, a wszyscy podzielali jego podziwienie.

— A któż jest twórcą tego arcydzieła? zapytał się Van Dyk, ulubiony uczeń Rubensa.

— Imię artysty było napisane u spodu obrazu, ale starannie jest wymazane, odpowiedział Van Tulden.

Rubens kazał prosić do siebie przełożonego klasztoru i zapytał się podeszłego wiekiem zakonnika o imię twórcy zachwycającego obrazu.

Przełożony złożył ręce na krzyż, uśmiechnął się i rzekł:

— Malarz przestał już żyć dla świata.

— Jakto, umarł? zawołał Rubens — umarł! i nikt o nim do tej chwili nie wiedział; nikt nie wspomniał z uwielbieniem jego imienia, zasługującego na nieśmiertelność; to imię, któreby i moje przyćmiło! A przecież, dodał artysta z dumą szlachetną, a przecież mój ojcze ja jestem Piotr Paweł Rubens.

Na to imię blada twarz przełożonego ożywiła się niezwykłym zapałem; jego oczy ogniem zabłysły, twarz zapłonęła, utkwił wzrok w Rubensa, zdradzający więcej niż samą ciekawość: ale to uniesienie po chwili zagasło. Zakonnik spuścił oczy, skrzyżował na piersiach ręce, które wzniósł był do nieba w chwili zachwytu i rzekł:

— Twórca tego obrazu nie należy do świata.

— Jego imię, mój ojcze, jego imię; niech je ogłoszę światu i pozyskam dla niego zasłużoną chwałę.

A nie tylko Rubens, ale i Van Dyck, Jakób Jordaens, Justus Van Nuel, Van Tulden jego uczniowie, a niemal współzawodnicy, otoczyli przełożonego prosząc go usilnie o imię wielkiego artysty.

Zakonnik drżał wzruszony; zimny pot oblał jego czoło i spływał kroplami po wyschłych policzkach, a wargi ściągały się w gwałtownych poruszeniach, gotowych prawie do wyjawienia tajemnicy, jemu tylko wiadomej.

— Jego imię! jego imię! powtarzał Rubens z zapałem.

Przełożony zrobił ręką poruszenie znaczące.

— Posłuchajcie, rzekł, nie zrozumieliście mię dobrze. Powiedziałem wam że twórca obrazu nie należy do tego świata, ale nie twierdziłem żeby nie żył jeszcze.

— A więc żyje, żyje! Ach! ojcze, daj nam go poznać, daj nam go poznać!

— Zrzekł się on już wszystkiego na tym świecie; żyje w klasztorze, jest zakonnikiem.

— Zakonnikiem! mój ojcze, zakonnikiem! Ach! powiedz nam w którym zostaje klasztorze, bo trzeba, bo powinien wyjść z niego. Kiedy Bóg genjuszem obdarzy człowieka, to w samotności zagrzebywać się nie powinien. Bóg mu dał szczytne posłannictwo; należy mu więc spełnić je zgodnie z wolą Najwyższego. Wymień mi ojcze klasztor, w którym się on ukrywa, a ja pójdę wyrwać go z niego i wskażę mu chwałę, czekającą na jego wystąpienie.

— Nie powiem wam jego imienia i nie wskażę klasztoru, w którym znalazł schronienie, odparł zakonnik głosem stanowczym.

— Ojciec święty rozkaże ci to uczynić, mój ojcze, zawołał Rubens oburzony.

— Posłuchaj mię, rzekł zakonnik, posłuchaj w imię Boskie! Czy rozumiesz, mój panie, że ten człowiek nim wziął rozbrat ze światem, nim się wyrzekł waszego szczęścia i chwały, doczesnej, nie stoczył silnej walki z swojem postanowieniem?

Czyliż wam na myśl nie przyszło że on doznał zapewne wielkich przeciwności, gorzkich zawodów, srogich udręczeń, nim się przekonał nareszcie że wszystko na tym świecie jest tylko próżnością. Dozwólcie mu umrzeć w ukryciu, z daleka od zgiełku świata i jego złudzeń zwodniczych. Zresztą wszelkie wasze usiłowania są daremne. Jest to tylko pokuszenie, z którego on wyjdzie zwycięsko, dodał żegnając się krzyżem świętym, bo Bóg dobrotliwy nie odmówi mu swojej pomocy; bo Bóg, który w swem miłosierdziu raczył go powołać ku sobie, nie odtrąci go z swojej opieki.

— O! mój ojcze! ależ on się nieśmiertelności wyrzeka!

— Nieśmiertelność jest niczem w porównaniu z wiecznością.

I zakonnik zsunął kaptur, zakrywający mu w części twarz jego i zmienił przedmiot rozmowy, żeby odwieść Rubensa od dalszych nalegań.

Sławny Flamandczyk wyszedł z klasztoru z świetnym orszakiem swych uczniów i wszyscy powrócili do Madrytu zadumani i milczący.

Przełożony klasztoru wróciwszy do celi, ukląknął na słomianej macie, służącej mu za łoże i gorące do Boga zanosił modły; potem pozbierał pędzle, farby, sztalugi w kącie celi złożone, i rzucił je w rzekę, która poniżej jego okienka ciche swe wody toczyła. Przez niejaki czas patrzył zadumany na wodę, unoszącą miłe mu niegdyś przedmioty... A gdy wszystko z przed oczów mu zniknęło, ukląknąwszy przed Zbawicielem na krzyżu rozpiętym, pokornie swoje odmawiał modlitwy.

POLSKI SŁOWICZEK.

Staś dobrym był chłopcem, lecz lubiał igraszki
I trochę swawoli i psoty;
Toż lubiał namiętnie polować na ptaszki...
Czy z złości? Nie, tylko z pustoty.

Więc łaził na drzewa, drapał się na dachy,
I skakał zawzięcie przez płoty,
I płatał ptaszętom i psoty i strachy —
Czy z złości? Nie, tylko z pustoty.

Raz poszedł nad strumień i w zielone krzaki,
Gdzie wiodła go pusta nawyczka —
Samotrzask i sidła nastawił na ptaki,
I schwytał szarego słowiczka!...

Słowiczek się rzucał i trzepał skrzydłami
I skargi wydawał żałośne!
I szarpał sidełka małemi nóżkami,
Sidełka okrutne, nieznośne....

Nareszcie otworzył swój dzióbek i rzecze:
„Chłopczyno, com zrobił ci złego?
Patrz, nóżki zranione i krew mi z nich ciecze!
Dla czego mię więzisz — dla czego?..

Jam polski słowiczek i lubię swobodę
Jak wy, dla których ja nucę,
Żyję tem powietrzem, piję polską wodę,
Wraz z wami się żalę i smucę!...

Czyś słyszał, chłopczyno, bym spiewał wesoło
I nucił i żwawo i skocznie?...
Ja z Polską zarazem wywodzę me żale,
Nie spocznę aż ona wypocznie!..

Czyś słyszał chłopczyno, bym spiewał Moskalom
Gdy miasta wam palą i sioła?...
Ja waszym sierocym wtóruję wciąż żalom;
Słowiczy o pomstę do nieba spiew woła!“...

Staś nic nie powiedział, lecz westchnął głęboko
I smutkiem pobladły mu liczka,
I główkę w dół spuścił i z łez otarł oko —
I puścił polskiego słowiczka...

W.

Wdzięczność Wojtusia.

Raz wieczorem Zygmuś szedł z rodzicami na przechadzkę. Przy drodze stała maleńka kapliczka, a u drzwi tejże klęczał chłopaczek wiejski w tym samym wieku co Zygmuś i zalewał się gorzkiemi łzami. Dowiedziano się że chłopczyk był sierotą i nie miał już nikogo na świecie.

Zygmuś rozrzewniony jego opowiadaniem, prosił rodziców aby sierotkę wzięli do dworu. Stało się zadość jego życzeniom. Biedny Wojtuś został przyjęty do paszenia gęsi, dano mu nowe odzienie, pamiętano o wszystkich jego potrzebach i czuwano aby go nikt nie krzywdził i nie znęcał się nad nim.

Wiedział dobrze Wojtuś że to wszystko zawdzięcza Zygmusiowi, więc pokochał z duszy dobrego panicza i nieraz myślał nad tem jakby mu się odwdzięczyć. Ale nie było to łatwą rzeczą, bo cóż on, ubogi sierotka i nic jeszcze nieumiejący, mógł był uczynić, coby panicza przekonało o jego wdzięczności? Modlił się więc tylko za niego, aby mu Bóg błogosławił i strzegł od wszelkich nieszczęśliwych przygód, a ile razy widział go czy w stajni, czy na dziedzińcu, czy w polu lub w ogrodzie, to go z oka nie spuszczał, tylko patrzył czy czego nie potrzebuje, czy mu nie trzeba w czem posłużyć?

Zygmuś przy swojem dobrem sercu był bardzo żywy, nawet swawolny. Wszędzie go było pełno, wszędzie zajrzał, wszędzie coś zbroił.

Raz zaszedłszy do ogrodu wdrapał się na drzewo i dalejże zajadać gruszki. Nie było mu tam wprawdzie bardzo wygodnie, ale nie zważał na to, ponieważ gruszki były smaczne. Wtem zatrzeszczała pod nim gałąź. Przestraszył się Zygmuś i przypomniał sobie, niestety dopiero w tej chwili, że ojciec najsurowiej zabronił mu wspinać się na drzewa. Chciał czem prę-

dzej spuścić się na dół, ale nie mógł dosięgnąć nogami żadnego konaru. Skoczyć było niepodobieństwem, bo zbyt wielka przestrzeń dzieliła go od ziemi, gałąź zaś, na której zawisł, odłamywała się coraz bardziej. Rzucił okiem do koła czy nie ujrzy



kogo, co by mu dał ratunek, lecz w ogrodzie nie było żywej duszy. Zygmuś zadrżał, widząc że mu grozi niebezpieczeństwo życia i poleciwszy się Bogu, płakał rzewnie. A wtem posłyszał szelest pod drzewem i poznał głos Wojtusia, który z drabiną przybył na pomoc.

Wojtuś sam jeden widział panicza idącego do ogrodu, a wiedząc że Zygmuś lubi wspinać się na drzewa, jakby przeczuwał niebezpieczeństwo, stał pod płotem i czekał czy nie będzie potrzebnym; ujrzawszy zaś iż gałąź, której trzymał się Zygmuś, zaczęła mocno przechylać się i trzeszczeć, czemprędzej pobiegł po drabinkę i tym sposobem uratował go.

Po przystawionej drabinie zszedłszy na dół Zygmuś porwał w objęcia poczciwego Wojtusia.

— Zawdzięczam ci życie, zawołał; gdyby nie ty, to bym już nie żył, albo przynajmniej byłbym kaleką.

— Paniczu, odpowie Wojtuś; ja to paniczowi winien jestem że żyję, bo gdyby nie panicz, to kto wie coby się ze mną było stało wówczas pod kaplicą... pamięta panicz? Może bym tam był umarł z głodu!

Obadwa chłopcy uściskali się serdecznie.

Zygmuś po tym wypadku przestał być tak swawolnym jak był dotąd, a przynajmniej nigdy już nie wspinał się na drzewa.

W ogólności jest to rozrywka wielce niebezpieczna, i chłopcy nie powinni się jej oddawać, zwłaszcza że nie zawsze w niebezpieczeństwie znajdzie się jaki Wojtuś z drabinką jakby na zawołanie.

Klęska pod Cecorą.

Polska leżąc na pograniczu chrześcijaństwa, miała się stać dla niego przedmurzem i bronić je w bezustannych napadach Tatarstwa. I zadanie to, jakkolwiek ono nie mało krwi i ofiar wymagało, spełniła najchlubniej. Od najdawniejszych bowiem wieków ściera się już Polska ustawicznie z pohańcami i niemałe ztąd odnosi tryumfy. Ale w tych ciągłych krwawych zapasach, w ciągłej utarczce z przemagającą po większej czę-

ści siłą Bisurmanów, doznała też nieraz srogiego odwetu nieprzyjacielskiego, nie jednej strasznej klęski.

W rzędzie takich najboleśniejszych dla narodu polskiego klęsk stoi i bitwa Cecorska. Tam to bowiem poganin przemógł naszych wojowników, którzy najsłuszniej za broń chwycili, tam legło mnóstwo mężnego wojska polskiego, a między poległymi padła także i siwa głowa Stanisława Żółkiewskiego, jednego z największych bohaterów, jakimi się poszczycić możemy.

Przyczyną tej nieszczęsnej wojny tureckiej była Wołoszczyzna. Ziemia ta mimo ciągłych zaprzeczeń należała najprawniej do Polski. Ale Turcy, ci zapamiętali wrogowie wszelkiej słuszności, zagarnęli ją przemocą, a wkrótce potem gdy Stefan Potocki, książe Korecki i Michał Wiśniowiecki dla siebie ją zdobyć chcieli, pobili ich na głowę i uprowadzili z sobą do Stambułu. I na domiar tego bezprawią stawiają na granicy 80.000 wojska, by takowe wszelkie dalsze napady Polaków natychmiast poskramiało. Stojący podówczas na granicy Stanisław Żółkiewski w 8000 żołnierza byłby natychmiast stoczył bitwę z Turkami, gdyby go Król Zygmunt III. dla uniknienia wszelkiej nowej waśni do Warszawy nie powołał. Usłuchał Żółkiewski rozkazu swego pana i wrócił do stolicy. Ale tuż za nim przybywa także poseł wołoski. Kasper Grocjan ówczesny hospodar, sprzyjał Polakom. Widząc zaś że nie pozbędzie się o własnej sile szarańczy tureckiej, wzywa Polaków na pomoc i oświadcza że woli być im niżeli Turkom poddany. Ciągnie więc Żółkiewski ku Wołoszczyznie, ale z szczupłem wojskiem, liczącem zaledwie 8000 żołnierza, niknącem w obec przemagającej siły 80,000 Turków i sprzymierzonych z nimi Tatarów. Ale mimo tej widocznej przewagi wojsko polskie nie upadając na duchu mogło się jakiś czas jeszcze bronić, gdyby karności nie były rozprzęgły ustawiczne wewnętrzne niesnaski. Żółkiewski bowiem, jakkolwiek ze wszechmiar mąż prawy, miał przecież wielu niegodziwych nieprzyjaciół, co go się w jakibądź sposób pozbyć chcieli. Gdy więc hetman w przed-

dzień bitwy całemu wojsku do niej się sposobić rozkazał, nie słuchali go niektórzy dowódzcy i skoro świt pokryjomu obóz opuszczali. Widząc to Turek rozdzielił swe wojsko. Jedną częścią począł ścigać tych niecnych zdrajców i pobił ich zupełnie, drugą zaś uderzył na główny obóz Żółkiewskiego. Poznał dobrze wódz polski że nie mierzyć się jego szczupłej garstce, nadwerężonej teraz znacznie ucieczką owych zbiegłych żołnierzy, z ogromną potęgą pogańską. Ale wielki w każdym wypadku duch Żółkiewskiego nie upadł i w tem wielkiem niebezpieczeństwie. Umyślił ocalić swe małe wojsko na późniejsze czasy, gdy wzmocnione jakim zasiłkiem skuteczniej z wrogiem zetknąć się potrafi. Ustawił więc wszystkie wozy z rozmaitemi przyborami wojennemi i dobytkiem możnych panów w czworobok, a z wojskiem stanąwszy we środku, począł się tak taborem cofać ku Dniestrowi, granicznej rzece. Pomysł ten był bardzo dobry, pełen najlepszych skutków. Turcy bowiem ścigając już siedm dni i nocy Polaków a doznając dosyć silnego odporu, zaniechali w końcu ósmego dnia, umęczywszy się nad siły, dalszego bezskutecznego nacierania. Już blisko granic stało wojsko gdy rozruch nowy w obozie, tem zgubniejszy że powstał w uszczuplonej już sile, zniszczył cały ten doskonały plan wielkiego wodza. Słudzy bowiem szlacheccy sądząc że nie grozi im już więcej żadne niebezpieczeństwo, żadne ponowne natarcie umęczonych nieprzyjaciół, zniszczyli ustawiony tabor i w pośród ogromnej wrzawy i zupełnego nieładu zabrawszy wszystkie kosztowności swych panów z wozów, poczęli co tchu umykać ku bliskiej granicy. Bezrząd ten w obozie polskim nie uszedł uwagi Turków. Zapomniawszy o niedawnem znużeniu, uderzyli teraz na Polaków z podwójnym zapałem, z tem większą wściekłością. Zguba niechybna, zupełna klęska zawisła nad wojskiem polskiem. Żółkiewski widząc kres bliski swego chlubnie spędzonego żywota, wyspowiadał się przed księdzem obozowym i stanąwszy na czele swych szeregów, postanowił wspierać swoich wojowników radą i mieczem aż do ostatniego tchu. Atoli walka

ta tak rozpaczliwa nie mogła trwać długo pod gwałtownym napadem dzikich nieprzyjaciół. Szabla turecka zmiatała dokoła najdzielniejszych wojowników, przerzedzała okropnie szeregi polskie. Padł w końcu cięty śmiertelnie w głowę sam Stanisław Żółkiewski wraz ze swoim synem i synowcem. Nie wielu ocalało w tej krwawej klęsce, by zanieść do ojczyzny smutną wieść o ciężkiej przegranej a Turek tymczasem wracał do swego kraju syt zwycięstwa i krwi polskiej obficie przelanej. Największą dla niego zdobyczą była odcięta głowa wodza polskiego. Obnoszono ją wśród okrzyków radości po wszystkich ulicach Stambułu, stołecznego miasta Turków. Dopiero później za ogromnym okupem wróciła do Polski by spocząć spokojnie w rodzinnym grobie.

A Polska cała na wieść tę okropną okryła się kirem powszechnego smutku, zabrzmiała jednym jękiem żalu serdecznego po stracie ukochanego wodza!

Br. Ł.

MORZE.

I.

Kto w bliskości rodzinnego domu widział tylko spokojnie po kamykach toczący się strumyk, albo i rozleglejszy nawet staw, po którym na wątłej łódce przesuwał się swobodnie, ten pewnie podziwiać będzie rozległość wód, gdy po raz pierwszy stanie nad brzegiem szerokiej rzeki, albo wielkiego jeziora. Ale czemże są te wody w porównaniu z nieprzejrzanym oceanem! Dla upojenia się samym przynajmniej widokiem tego niezmiernego przestworza, tysiące ciekawych zgromadza się na wybrzeżach morza Niemieckiego, Bałtyckiego lub któregokolwiek z mórz Europejskich. Tam wsiadają na statek lub okręt, i puszczają się chciwi wrażeń podróżni, choć na chwil nie wiele, na morską przejażdżkę. Modrawo zielona powierzchnia wody roztacza sią przed ich oczami, jak daleko tylko wzrok dosięgnąć

może: tam w dalekiej odległości widać w około sklepienia niebios, na niezmierzonej fali wód oparte. Coraz dalej statek gnany wiatrem, oddala się od brzegów. Jeszcze można rozpoznać tu i owdzie na wybrzeżach wznoszące się wieże i domy; wkrótce jednak zaledwie tylko ciemna w dali smuga dostrzedz się daje. Nareszcie wszystko znika z przed oczu. Gdzie tylko zwrócisz oko wszędzie niebo i woda! Żadna góra ani pagórek nie przerywa tej nieprzejrzanej płaszczyzny. W głębiach wód przegląda się niebo, w ustawnie łamiących się falach rozpryskują się złociste słońca promienie i w każdej kropelce ukazują świetne jego oblicze. Spokojnie kołysze się okręt po wzdętej ruchliwych wód powierzchni. Ale podróżnym trzeba myśleć o powrocie; bo słońce zapadać zaczyna — wieczór się zbliża. Teraz księżyc występuje, gwiazdy wysuwają swoje światełka, a nowy znowu dla oka nastręcza się obraz. Z morza miljony błyszczących gwiazd wynurzają się i wstępują na wysokie niebios sklepienia, a w długim srebrzystym połysku księżyca łagodne światło jaśnieje; nieprzejrzane wód przestrzenie lśnią się i błyszczą, jakby iskrami ognia zasiane. Za statkiem rozwija się ognista wstęga. Zachwycające to sprawia na podróżnym wrażenia, a oko tak we dnie jak i w nocy cudnym upaja się widokiem.

A jakże rozległe to morze? Czyliż te niebios sklepienia zdające się je ujmować w swoje objęcia, są jego krańcami, czyli też i po za nie jeszcze się dalej rozciąga? Pójdźmy w myśli za podróżnym udającym się n. p. do Ameryki. Wsiada on w Hamburgu, Bremie lub Gdańsku na okręt żaglowy lub szybki parowiec. Spiesznie posuwa się statek. Brzegi znikają. Po kilku godzinach gdzie tylko potoczy wzrokiem wszędzie niebo i woda. Z rana okręt odpłynął. Nie za długo i wieczór nadejdzie, a oko żadnego nie dostrzega lądu. Nic żyjącego nie widać w około: tylko ryby pląsają po falach bezpiecznie. Już i noc nadeszła; podróżny podziwia odbicie się gwiazd w głębiach morskich i światło tuż za okrętem po nieogarnionem wód zwierciedle bieżące. Teraz idzie na spoczynek. Po modlitwie, pełen ufności w Boską

opiekę, zasypia. Lecz ciągłe kołysanie okrętu rozbudza go co chwila. Powstaje z swego posłania, a pomimo ciemności, wychodzi na pokład okrętu. Nareszcie zaczyna się niebo czerwienić od wschodu; nakształt kuli ognistej wychyla się słońce z toń morskich. Tęskne oko zwraca się upatrując stałego lądu, ale zawsze nieprzejrzane tylko morze roztacza się przed jego oczami. Tak przemija i drugi dzień i noc długa; i trzeci dzień prócz nieba i wody nic więcej nie przedstawia odmiennego. Już cały tydzień statek niewstrzymanym pędem biegnie naprzód i naprzód, a jednak oko żadnego niedostrzega lądu. I drugi tydzień przeminie nim się daleką drogę przez Morze Atlantyckie przebieży. Nakoniec strudzone jednostajnością widoku oko, jeżeli tylko wiatr i pogoda są przyjazne, postrzega tak dawno upragnione wybrzeże! Nagły okrzyk radości: Ląd! ląd! przebiega przez usta uradowanej załogi, a uczucie wdzięczności w kornej modlitwie za wybawienie grożącego niebezpieczeństwa wszystkich przejmuje.

Jakkolwiek wielkie i rozległe jest morze, to jednak żeglarz umie zawsze rozpoznać miejsce, na którem zostaje. Dokładnie zna on swą drogę; gwiazdy i kompas są jego przewodnikami. Wiatrem pędzone lub parą poruszane tysiące okrętów przecina corocznie fale morskie, płynąc na południe i na północ, na wschód i na zachód, od jednej części świata do drugiej. Wiele z nich przewozi wychodźców przez Ocean Atlantycki do Ameryki, albo około przylądka Dobrej Nadziei, przez Morze Indyjskie do Australji; inne przywożą z Azji korzenie, herbatę, kawę, bawełnę; z Afryki pieprz, figi, trzcinę cukrową, kość słoniową. Inne udają się dla rozpoznania Morza Lodowatego, i wracają obładowane fiszbinem, skórami białych niedźwiedzi lub śledziami. Tak to słaby człowiek swoim twórczym umysłem umie nad niezmierzonem zapanować morzem. Tak jest rzeczywiście; bo nawet do jego głębi puszcza się śmiało w dzwonie dla nurków*) zrobionym, dla zbadania jego tajników,

*) Ob. Przyjaciel Dz. z r. 1865 str. 193.

i wydobycia z nich ukrytych tam skarbów. Nurek wchodzi pod wielki dzwon i spuszcza się na łańcuchu lub silnej linie na dno morskie. Zrazu nie widzi światła słonecznego i nieba błękitu; naprzód otacza go jasna żółtość, potem jaskrawa czerwoność, wreszcie wszystko w około coraz bardziej ciemnieje. I cóż on na tem dnie morskiem spostrzega? Jak w górze na powierzchni ziemi, tak i na dnie morskiem są góry, skały i doliny, w głębiach pływają wielkie żarłoczne ryby i inne morskie zwierzęta, ścigające się wzajemnie. Tu żyją nienasycone ludojady (Haje) olbrzymie wieloryby, piły, żółwie, tudzież piękne ślimaki, muszle i miljony rozlicznego kształtu zwierząt; rośliny także na dnie morskiem rosnące, wysuwają z niego na sto i więcej łokci swoje łodygi i liście. Nurek zbiera po ścianach skał muszle z kosztownemi perłami, czerwone korale, z których paciorki i inne ozdoby wyrabiają, gąbki, gwiazdy morskie i t. p. Temi skarbami obładowany, opuszcza nurek głębie morskie, dostaje się znowu na światło dzienne, uradowany widokiem złotych słońca promieni.

ROZMAITOŚCI

Skarcenie dworzanina Zygmunt III. od lat młodocianych lubił gry i zabawy, ale tylko pokojowe; unikał bowiem zgiełku i wszelkie zatrudnienia tem milsze mu były, im w mniejszem towarzystwie mógł się niemi zajmować. Dla tego to może zamiłowany był w doświadczeniach chemicznych i w muzyce, na które, mimo swej zbytniej oszczędności, nie mało czasu i skarbów poświęcił i marnie roztrwonił. Szczególniej liczną z biegłych artystów złożoną orkiestrę Włoską na swoim utrzymywał dworze; sam zaś chętnie grywał na klawikordie. Zdarzyło się

pewnego razu że gdy król zabawiał się swoją grą swobodnie, spojrzał przypadkiem w zawieszone nad jego instrumentem zwierciadło, w którem mógł widzieć młodzież dworską do usług jego przeznaczoną w przeciwległym pokoju, i postrzegł z niemałem swojem zdziwieniem jednego z młodzieży wesoło pląsającego po jego graniu. Natychmiast przestał grać i wyszedł, nic nie mówiąc nikomu. Wkrótce jednak ów ochoczy do pląsów młodzieniec, pełen nadziei otrzymania korzystnej od króla dzierzawy, udał się z prośbą do swego monarchy; ale ten rzekł najspokojniej: Nie, nieotrzymasz jej wprzódy, dopóki nie zapłacisz muzykowi, który ci do skoków przygrywał.

Przykład kochania rodziców. Częstokroć dzieci a nawet i starsze osoby są tego przekonania że największą miłość ku swoim rodzicom okażą, jeżeli o nich z wdzięcznością mówić, lub po ich zgonie z uszanowaniem o nich wspominać będą. Dla okazania jednakże prawdziwego ku rodzicom przywiązania tak w całem swem życiu postępował Bolesław Krzywousty: Po zgonie swego ojca Władysława Hermana nie tylko przez pięć lat chodził po nim w żałobie i przez całe życie nosił jego obraz zawieszony na piersiach; lecz nadto, co jeszcze ważniejsze, ile tylko razy nadarzyła mu się sposobność dopuszczenia się jakiej zdrożności, powstrzymywał się od niej tą myślą: „Broń mię Boże, żebym co przeciw sławie ojca mojego, któremu wszystko winien jestem, postąpił!“

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1. i 15. każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a. Z przesyłką pocztową rocznie 5. Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktor odpow. Stanisław Nowiński. *Wydawca:* Władysław Zawadzki.

Drukiem M. F. Poremby we Lwowie 1866.